

MARKIZA.

TEGOŻ AUTORA:

Piosenki i iraszki „Zielonego Balonika“. Kraków G. Gebethner i Sp.

Igraszki kabaretowe, tamże.

Nowe piosenki (wyczerpane).

Gdy się człowiek robi starszy... Kraków. S. A. Krzyżanowski, Warszawa, E. Wende i Sp.

Słówka. Lwów, księgarnia polska B. Połonieckiego, Warszawa, E. Wende i Sp.

Boy & Taper : Szopka krakowska. Kraków, S. A. Krzyżanowski, Warszawa, E. Wende i Sp.

— **Szopka krakowska** na rok 1912, tamże.

Przekłady:

Balzac : Fizjologia małżeństwa, czyli Rozmyślenia eklektycznego filozofa nad małżeńską dola i niedolą. Kraków, G. Gebethner i Sp. Warszawa, Gebethner i Wolff.

Balzac. Małe niedole pożycia małżeńskiego, tamże.

Lacos. Niebezpieczne związki (z przedmową tłumacza). Lwów, Księgarnia Polska B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp.

Molier. Dzieła (wydanie zupełne). Tomów VI; ze wstępem i komentarzem historycznym Dr. W. Günthéra. (tamże).

Brantôme : Żywoty pań swowolnych. Tomów II (z przedmową i komentarzem historycznym tłumacza), Kraków S. A. Krzyżanowski, Warszawa, E. Wende i Sp. Wydanie drugie, tańsze.

W przygotowaniu do druku :

Rabelais : Dzieła.

BOY.

B-78

губернаторские
3363
губернатор

MARKIZA

I INNE DROBIAZGI.



KRAKÓW 1914.
NAKŁADEM S. A. KRZYŻANOWSKIEGO.
WARSZAWA, E. WENDE I SKA.

7/4



884-1



W
R. 92
22/1. 462



MARKIZA.

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I WYKONANIA
..... ZASTRZEŻONE.
W Drukarni E. i Dra K. KOZIAŃSKICH W KRAKOWIE.

Obrazek ten wykonany był w inscenizacji pani Jadwigi Mrozowskiej w następujący sposób: Sala przyćmiona; światło rzucone reflektorem oświetla estradę, w głębi której znajduje się ciemny ekran. Jako akompaniament muzyczny menuet z „Don Juana“ Mozarta. Po pierwszych taktach rozsuwa się zasłona w środkowej części ekranu; ujęta w stylową ramę, ukazuje się postać kobieca, ubrana w kostium modni dworskiej z epoki Ludwika XIV. Przez parę chwil pozostaje bez ruchu, upozowana jakgdyby na starym portrecie; stopniowo, pod wpływem dźwięków melodi, twarz się ożywia, oko nabiera blasku, cała postać przegina się w rytmicznych poruszeniach. Wreszcie opuszcza ramę i, menuetowym krokiem, występuje na estradę. Wykonawszy kilka *pas* tanecznych, zaczyna mówić; a to w ten sposób, iż pierwsze strofy deklamacyi nieomal padają w rytm melodi. Muzyka zamiera i cichnie zupełnie w ciągu czwartej zwrotki, powraca na chwilę z początkiem dziesiątej, i znowu z początkiem szesnastej, odkąd już towarzyszy do końca. W połowie ostatniej zwrotki Markiza krokiem menuetowym cofa się w głąb ramy, z której mówi ostatnie dwa wiersze, poczem znowu, stopniowo, zastyga w nieruchomość portretu. Zasłona zaszuwa się z wolna.

MARKIZA.

OBRAZEK SCENICZNY.

Pani Jadwidze Mrozowskiej.

Z odległej kędyś krainy,
Z wieków co dawno przebrzmiały,
Przyszłam do was w odwiedzinę,
W rynsztunku mej dawnej chwały.

Obca tu jestem: więc staję
Nieśmiało oto i skromnie —
Czy z was mnie który poznaje?
Mówcie, czy kiedy śnił o mnie?

Czym może kiedy, czasami,
Z kartek poźółkłej gdzieś książki,
Wykwitła nagle przed wami
Strojna w róż, muszki i wstążki?

Jam jest Markiza: ta sama,
Znana wam z dawnych powieści,
Ideal: kochanka, dama,
Co razem gardzi i pieści,

Co razem nęci i kusi,
W powabne iskrząc się błędy,
To znów w snach dławi i dusi
Zmorą straszliwej legendy ;

Ja, której kaprys korony
Królewskie deptał tą nóżką,
A czasem znowu, szalony,
Paziów przygarniał w me łóżko ;

W pochlebstwie od miodu słodsza,
W szyderstwie jak pocisk prędką,
W pieszczocie od bluszczu wiotsza,
To jak stal ostra i giętka,

Ja, której miłosny zakon
Wcielił do kunsztów swych ciemnych
Truczny subtelnej flakon
I sztylet zbirów najemnych,

Ja, co drobniuchną mą dłonią
Zalotnie przysłaniam oczy,
Śledząc z uśmiezkiem jak o nią
Krew strumieniami się toczy,

Z salonów moich złożonych,
Z mej gotowalni pachnącej,
Z ogrodów moich strzyżonych,
Z lektyki mojej błyszczącej,

Zeszląm tu do was, na chwilę,
Ot, tak, zachcenie kobiece,
Ot, kaprys, jak innych tyle,
Aby, nim rychło odlecę,

Tchnąć ku wam brzmieniem echowem
Minionych wieków piosenki,
Poigrać kuszącem słowem,
Krętem jak loków mych pęki,

Zmienić w majaków gorączkę
Sen waszych nocy spokojnych,
Obudzić w was słodką drzącą
Pragnień zawrotnych, upojnych ;

Rozniecić ogień najświętsze,
Przez które żyję i ginę,
W serc waszych wcisnąć się wewnątrz
I, bodaj na tę godzinę,

Przerobić na moje prawo
Dusz waszych pustą zawiałość,
Że życia jedyną sprawą
Jest miłość, ach, tylko miłość!

Że kto u stóp mych wiek strawi,
Najsrozsze cierpiąc męczarnie,
Choć wszystką krew z serca skrwawi,
Ten dni swych nie przeżył marnie ;

Że, jeśli zechcę, odmienię
W słodycz najcięższą niedolę,
Bo jedno moje spojrzenie
Ach, wszystkie uleczy bole ;

Że jeśli szał czyichś rojeń
Me serce podzielić raczy,
Ach, wobec takich upojeń
Cóż szczęście aniołów znaczy !

.
Idę już: tak, czas mi w drogę —
Żyjcie szczęśliwi, żegnajcie ;

Ja jedno radzić wam mogę :
Kochajcie, tylko kochajcie....

DUSZA POETY.

DUSZA POETY.

SCENA ESTRADOWA.

Sala przyémiona. Scenka oświetlona seledynowem światłem. Na kanapie leży poeta i chrapie, od czasu do czasu mu się odbija. Na podłodze stoi miednica. Akompanjament gra bardzo delikatnie ustęp z „Karnawału“ Schumana p. t. „Chopin“. Z ciała poety wychodzi jego dusza w kształcie powabnej postaci niewieściej, odzianej w powłóczyste gazy i tak się żali przed publicznością:

Usnął. Usypia. Jeszcze chwila jedna,
A już polecę, na krótko, niestety!
Ulecę w przestrzeń ja, skazanka biedna,
Dusza poety...

Ha! jakaż dola! Potęgą nieznaną
Na wiek wtrącona w to leniwe cielsko,
Więzić w niem muszę mą niepokalaną
Gloryę anielską...

Jedno wytchnienie, to gdy sen go zmorzy,
Lub gdy z opilstwa legnie, jak trup błądy,
A mnie porywa wówczas wichur boży
Hen, w gwiazd miryady...

Kto nas sprzął razem? POCO? W jakim celu?
Za czyje winy? Na pokutę czyją?
Kaząc śnić życie jednemu wśród wielu
Co tylko żyją...?

Po co i naco tłuc mi się daremnie
W tej biednej piersi, ach, nazbyt człowieczej,
Tchnąc w nią niepokój tej co mieszka we mnie
Ogromnej rzeczy...?

Za co mi cierpieć, jak w godzinie męki
Którą śmie nazwać godziną tworzenia,
Plami dotknięciem swej kosmatej ręki
Mój świat marzenia...?

Za co mi patrzeć, jak pomiędzy gminem
W mój blask się stroi, mą boskością puszy,
Jak się bezecnym staje kabotyńcem
Swej własnej duszy...?

A znowu kiedy nań się wzajem patrzę,
Jak go szaleństwo mych skrzydeł urzekło,
By go przez wzruszeń sensacye najrzadsze
Gnać w zwątpień piekło;

Gdy widzę, w jaką kaźń się wprzęga srogą,
Aby się czeplić by za kraj mej szaty,
Żal mi nędzarza, co płaci tak drogo
Bilet w zaświaty...

Jam winna temu, że w odmęcie grzechu
Melody szuka dla swej biednej pieśni,
Klnąc los swój, iż mej harmonii oddechu
Nie ucieleśni...

(Poeta wydaje dźwięk przeciągły a podejrzany).

Jam winna temu, że to co zamarło
W człowieczej piersi z odwiecznych zrozumień,
Próbuje wskrzesić, lejąc w spiekle gardło
Żytniówki strumień...

(Poecie haniebnie się odbija).

Ja go w sromotne pędzę lupanary,
Rwąc się ku piękna wiecznego świątyni,
I patrzeć muszę, na domiar mej kary,
Co on tam czyni...

(Poeta oblizuje się przez sen).

I jedno tylko pragnienie tajemne,
I jedno tylko przyświeca mi hasło:
Rozżarzać tchem mym to płomień nikczemne,
By rychlej zgasło...

I czekam, marzeń nić snując leciuchną
I pytam z drzeniem co chwilę, ażaliż
Nie przyjdzie moment wreszcie, że to próchno
Zmiecie paraliż...?

Wówczas skrzydłami zatrzepocę, i nad
Ziemskie padoły zapieję radością,
Że już się skończył śmieszny konkubinat
Prochu z wiecznością!...

Poeta chrapie przeciągle i przewraca się na drugi bok, wypinając się ku publiczności gestem mimowoli i niewinnie prowokacyjnym.

UWIEDZIONA.



UWIEDZIONA.
DYALOG SCENICZNY.

OSOBY :

Ona, piękna, wykształcona i ozdobnie mówiąca.
On, naturalnej wielkości, wypchany, wszelako uzdolniony do wykonywania pewnej ilości automatycznych poruszeń.

(Siedzą obok siebie na kanapce buduaru).

Ona :

Och, nie, proszę się na mnie w ten sposób nie patrzeć...
Pan ma w oczach dziwnego coś — Och, ja się boję —
Nie, nie, potem zbyt trudno mi w pamięci zatrzeć
Ten wyraz, jaki mają oczy pańskie... twoje...
Kiedy tak patrzysz, patrzysz, coś się budzi we mnie —
Nie zmysły — och, nie, na to warciśmy zbyt wiele —
Ale coś, coś, co schwycić siłę się daremnie,
Coś jak ptak, co o klatkę tłucze się nieśmielem,
I chciałby hen, daleko, ulecieć w przestworze,
Do słońca, do jasności... Ach, co ja znów baję!
Pana to nudzi, prawda? nie przecz pan — mój Boże,
Ja jestem mniej naiwna niż się panu zdaje ;

Wiem, że co dla mnie może stać się życiem nowem,
Mem odrodzeniem, wszystkim, jest dla pana tylko
Epizodem, rozrywką, sportem salonowym,
W najlepszym razie wrażeń migotliwą chwilką...
Ale co mi tam: mniejsza! dość bogata jestem,
By, chociażby na marne, rzucić duszy kawał —
To ma gest! Pan uśmiecha się? Pan gardzi gestem?...
Pan jest mniej zajmujący, niż się pan wydawał — —
Ach, jakie to banalne ta ironia pańska!
Jakie to łatwe, tanie! jakie nowoczesne!
Lecz we mnie jakaś dusza gnieździ się pogańska,
Umiłowanie życia namiętne, bezkresne,
Co mi pozwala płynąć wśród waszych małostek,
I niesie mnie ku szczytom niby pieśń świetlana,
Że mi szarzysta wasza nie sięga do kostek —
Co panu —? pan posmutniał... czy dotknęłam pana?...
Nie, ja tak nie myślałam... pan przecież jest inny —
W tobie niema małego nic — pan mnie rozumie —
No, proszę mi darować ten wybryk niewinny — —
O, dać rękę, pogładzić, tak jak to pan umie...
Ja chcę wszystkimu wierzyć—ja wszystkimu wierzę—
Och, tak, przytul, przygarnij dzieciaka... twojego...
Tak, czujesz moje serce przy twojem?...
Och, zwierzę!!!

Zdaje się, że pan wziął mnie za kogoś innego!?

Moja wina, wyznaję: zapomniałam o tem
Że, mimo wszystko, w panu tkwi zawsze — mężczyzna.
Pan mnie otrzeźwił. Dzięki serdeczne. Tym zwrotem
Oddał mi pan ogromną przysługę. Pan przyzna,
Że najlepiej, jeżeli zapomnim oboje
Żeśmy się kiedykolwiek znali. Żegnaj pana.
Tak, żegnaj.

...zostań...

...ktoś ty...? ...Ja się siebie boję...
Och, co się ze mną dzieje... czym ja obłąkana...?
Nie, nie, to nic, to przejdzie... o czymśmy mówili...?
O „*Xiędzu Fauscie*“, prawda? cóż pan o tem sądzi?
Co do mnie, to czas spędzam przy książce najmilej,
Gdy mi wypadnie z ręki, a myśl błądzi, błądzi,
Ot, tak, samopas, nizko, niby mgła wieczorna,
Co snuje się w księżycu przez ściernie, ugory,
To jak dzwonek kapliczki wioskowej pokorna,
To znów żałosna, niby cmentarne upiory...

To dziwne, jak mi dobrze się rozmawia z panem...
Pan tak umie rozumnie słuchać. Mam wrażenie,

Że choćbym się wyrwała, ot, z czemś niesłuchanem,
Z czemś potwornem, waryackiem, zawsze przebaczenie
Znalazłabym u pana...

Och, mów do mnie jeszcze...

Ukołysz mnie jak do snu... oczy mrużę senne,
Pragnę twych słów a w myśli usta twoje pieszczę
Memi ustami, w myśli całunki płomienne
Składam na nich....

...w tej chwili naga jestem cała,

Kołyszę się na fali jakichś grań anielich,
I otwieram, ach, tobie, kwiat mojego ciała,
Niby jakiś upojny, przenajczystszy kielich...
Ach, jakim bardzo twoja...

Ha, com ja wyrzekła!

Pan to zapomni, musi pan zapomnieć o tem...

I ja zapomnę, choćby wszystkie moce piekła
Ciągnęły mnie do ciebie... Co potem, co potem...?
Potem—? och, prawda, potem... umrzeć można przecie!
Czyż to cena zbyt wielka za szaleństwa chwilę...?

Pan się zawahał — słusznie — pan widzisz w kobiecie
Objekt, z którym przepędzić czas można dość mile,
Lecz dla której nic więcej poświęcić nie warto.

Pan jest człowiek praktyczny. Tem lepiej dla pana:
Cóż, kiedy na istotę pan trafił upartą,

Co nie chce panu służyć za kubek szampana — —
Chyba, że potem strzaskasz na miazgę ten kubek!
No... zabijesz mnie, powiedz...? twój dzieciak tak

prosi,

Patrz, sam do ciebie oto wyciąga swój dzióbek...
Będziemy tak szczęśliwi... ludziom się ogłosi
Żem sama się zabiła... uwierzą z pewnością:
Taka waryatka, pewnie, to wygląda na nią —
I tak odejdę cicha z mą wielką miłością,
I zostanę dla ciebie twą słoneczną panią — —
Tak mi jest dziwnie, niewiem co się dzieje ze mną,
Zdaje mi się jakgdybym już gdzieś w dal leciała,
Trzymaj mnie, trzymaj mocno, och, w oczach mi
ciemno,

Dusza moja jak gdyby już odeszła z ciała —
Nic nie wiem co się dzieje... gdzie jestem w tej chwili...
Czy ja cię kiedy znałam... czym istniała w tobie...
Czyśmy gdzieś, na planecie jakiejś, wspólnie żyli — —
Czekaj, czekaj, ja muszę... och, przy...po...mnieć sobie..

.
. :
Pan jest człowiek nikczemny.

KAPRYS.

KAPRYS.

Melodya: *Delmet, Les petits pavés.*



Ach, niech się święci ta godzina,
W której twój kaprys począł wic
Sympatyi naszej złotą nić,
Po stokroć moja ty jedyna...
O chwilo, słodka chwilo, stój,
O chwilo, słodka chwilo, stój,
Błogostawiony kaprys twój....

Jeżeli potrwa dwa tygodnie,
Cóż pozostanie po nim, cóż?
Prócz zamyślenia dwojga dusz,
Co sen miniony śnią łagodnie....

O wspomnień, słodkich wspomnień rój,
O wspomnień, słodkich wspomnień rój —
Błogosławiony kaprys twój...

Jeżeli potrwa trzy miesiące,
Ach, to już jest drażliwsza rzecz —
Rozłąki ból gnającej precz,
I lzy okrutne, lzy piekące....

Nim z ócz mych tryśnie gorzki zdrój,
Nim z ócz mych tryśnie gorzki zdrój,
Błogosławiony kaprys twój....

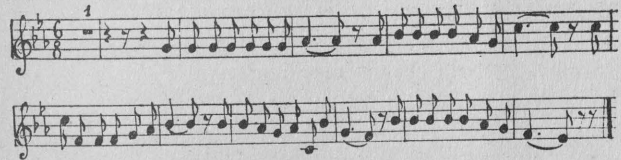
Jeżeli potrwa, och, pół roku,
Nawet mi myśleć o tem strach —
W tve oczy z drżeniem patrzę, ach,
Mego szukając w nich wyroku...

O, snuj się, nitko złota, snuj,
O, chwilo, słodka chwilo, stój,
Błogosławiony kaprys twój....

PIOSENKA MEGALOMANA.

PIOSENKA MEGALOMANA.
DWUGŁOS FILOZOFICZNY.

Melodya: *Delmet, Exil d'amour.*



Rozpoczyna głos mężczy z właściwą temu gatunkowi
przesadą:

Wpleceni w uścisk miłosny
I z twarzą złożoną na twarz,
Prześnijmy, o luba, wiek nasz,
Przetrwajmy od wiosny do wiosny!
Wpleceni w uścisk miłosny....

Niech płyną koło nas godziny,
Niech płyną w przestrzenny gdzieś mrok —
Cóż znaczy godzina czy rok
W przesłodkich objęciach jedynej!
Niech płyną koło nas godziny...

Sekundą nam będzie pieszczota,
Kwandransem oddania szaf —

Tutaj tenor, mimo całej bezczelności, zawahał się na chwilę; natychmiast odbiera od niego melodyę sopran, rozlewając skarby najczystszeo liryzmu:

Ach, byle chronometr ten trwał
Tak długo, jak serca ochota....

Razem: Sekundą dla nas pieszczota!

Sopran prowadzi dalej melodyę z rosnącym zapalem i siłą głębokiego przekonania:

Wpleceni w uścisk miłosny,
I z twarzą złożoną na twarz,
Prześnijmy, o luby, wiek nasz
Przetrywajmy od wiosny do wiosny!

Razem: Wpleceni w uścisk miłosny...

Akompanjator, ratując sytuację, szaleje po swoim klawicymbale w niestychanych arpedżjach i glissandach.

.
.

Sopran, nieco zamglony:

Ach, byle chronometr ten trwał....

.

Razem: Sekundą nam będzie pieszczota...

(da capo ad libitum).

MADRYGAŁ
Z POD CIEMNEJ GWIAZDY.

MADRYGAŁ Z POD CIEMNEJ GWIAZDY.

Chciałbym przy paniuchnie
Być takim skromnym amantem,
Co go się puszcza przez kuchnię
Zanim się puści go kantem.

Ot, cichem pragnieniem mojem,
(Nie dla pieniężnych korzyści)
To być w jej domku *lift-boy*'em
Lub drabem co schody czyści.

Sprzątałbym z wielkim hałasem,
Wstawał ze wszystkich najraniej,
By się w nagrodę choć czasem
Przytulić do jaśnie pani.

Obmywszy z kurzów me ciało,
Jak można najidealniej,
Pukałbym potem nieśmiało
Do jej bieluchnej sypialni.

Z emocyi leciutko dyszę,
(Zwyczajnie osoba w wieku)
Aż szept najdroższy usłyszę:
„No, włączcież prędzej, człowieku!“

Z szacunku słowa nie gadam,
Liberyę szybko zdejmuję,
Kładę się w łóżko i: „*Madame
est servie*“ głośno melduję....

Powiedz, mój strózu aniele,
Czy to zuchwalstwem zbyt dużym
Marzyć, choć czasem, w niedzielę,
Szczęście aniola ze stróżem?...

WOLNY PRZEKŁAD Z ASNYKA.

WOLNY PRZEKŁAD Z ASNYKA.

„Najpiękniejszych moich piosnek...“

Kochanko moja słodka,
Naucz mnie takich piosneczek,
Żeby ich każda zwrotka
Miała smak twoich usteczek;

Żeby ich każde słowo
W szept się mieniło najśodszy,
Wciąż powtarzając na nowo
To, co bliżutką rozmową
Dwa serca bredzą trzypotrzy...

Potem wymyślę temat,
Sentymentalny ogromnie,
I spiszę cały poemat
O tobie, miła, i o mnie.

Wszystko tam razem się znajdzie,
Jak w głowie samo się kleci,
Niby w niańczynej bajdzie
Dla troszkę większych już dzieci.

Będzie o Lali-królowie,
Jak miała swego pajaca,
Co płakał, płakał tak rzewnie,
A ona mówiła: caca;

Będzie i baba-Jaga,
Wiedźma złośliwa krzynekę,
Co, jak ją rozdziać do naga
Zmienia się w małą dziewczynkę;

Będą i włoski złote,
Czesane złotym grzebieniem,
Co najmocniejszą pieścotę
Sączą cichutkim strumieniem;

Będzie i siódma rzeka,
I siódma góra będzie,
I myśli tęskne człowieka
Pół świnki a pół łabędzie....

I wiele jeszcze innych
Bajeczek nowych i dawnych,
Tak wiernych że aż dziecinnych,
Tak czułych że aż zabawnych,

Nizać chcę ziarko po ziarku,
Aż wzrośnie śliczna księżeczka,
Którą nam dadzą w podarku
Twe drogie, słodkie usteczka....

DEDYKACYA.

DEDYKACYA.

Pisana po ukończeniu wydawnictwa Moliera w r. 1912 w sierpniu, miesiącu ukazania się niezapomnianych felietonów F. Hösocka p t. „Życie nocne w Wiedniu“).

Skończyłem już robótki
Te com miał w życiu grubsze,
I mogę, czas choć krótki,
Spocząć na własnym kuprze.

Miesiący pięknych sporo
Z jeniusem żyłem górnio,
A teraz znów z pokorą
Powracam między durnie.

Znów, ziemio, twój-em cały,
Znowem jest dawnym Faustem,
Gotowym tve specyały
Łykać pełniutkim haustem.

Dajcie mi życia czarę!
W odmiany mej przededniu,
Choć felietonów z parę
O „Życiu nocnem w Wiedniu“.

Ach, nuć mi, nuć, słowiku,
Pieśń narkotyczną bytu,
Ty, co mi wnet, Hösicku,
Urośniesz w ogrom mytu!

Ach nuć mi, Ferdynandzie,
Twe *süssen Himmelslieder*,
Aż oko łą mi zańdzie —
Die Erde hat mich wieder!

WIERSZYK, KTÓRY SAM AUTOR
UWAŻA ZA NIEBARDZO MĄDRY.

WIERSZYK, KTÓRY SAM AUTOR UWAŻA ZA
NIEBARDZO MĄDRY.

Niech mi kto wreszcie powi,
— Djabłów kroć sto tysięcy! —
Czemu się tak nerwowi
Stajemy coraz więcej?

Długom to zgłębiał, przecie
Doszedłem kwintessencyi:
W tem zło, że na tym świecie
Nic niema konsekwencyi.

Rzecz jedna sama w sobie
Nie ciągle jest jednaka,
Lecz bywa w różnej dobie
To taka to owaka.

Bywają dni, że człowiek
Strasznie jest siebie pewny,
Rad, od otwarcia powiek,
Jak prosię w deszcz ulewny.

Przed lustrem wówczas staje
I sam jest z siebie dumny,
I sam się sobie zdaje
Przystojny i rozumny.

Na drugi dzień przeciwnie:
Ta sama ot, osoba,
A wszystko się w niej dziwnie
Znów człeku nie podoba.

Pysk mu się widzi krzywy,
Wiersze haniebnie głupie,
I bardzo jest zgryźliwy
I sam ma siebie w pogardzie.

Nie macie wprost pojęcia,
Jak to jest źle na nerwy
Bez chwili odpoczęcia
Tak huśtać się bez przerwy.

Ba, gdyby się to dało,
(To byłoby najprościej)
Wprowadzić jakąś stałą
Podstawę wszechwartości!

Tak głowę dręcę biedną,
Gdy myśl się jakaś czepi:
Ach, czyż to tylko jedno
Mogłoby tu być lepiej...

KŁOSKI.

KŁOSKI.

UTWÓR DYDAKTYCZNY.

Nie wiem czy to lat mych skutek,
Czy mi co innego wadzi,
Dość, że coraz gęściej smutek
Na mem czole się gromadzi.

Taki smutek jakiś mętny,
Potocznie mówiąc „kosmiczny“,
Jakiś dziwnie beznamiętny,
Jakiś ultra-platoniczny....

Myśli coraz wstecz mi biegą,
Ogarniając życia całość,
Tak się płaczą wkoło niego
W jakąś mglistą, głupią żalność....

Coraz częściej roję o niem,
Dumam nad jego „urodą“,
Gdybym nie był starym koniem
Myślałbym, że umrę młodo...

Jakoś mi się zaproszyły
Świadomości mej organy,
I na świat ten piękny, miły,
Patrzę w pół jak zabląkany;

Po ziemi patrzę, po niebie,
Po zielonych łąk kobiercu,
I coś szepcę sam do siebie,
I coś mnie tak pika w sercu....

Kiedy ulubionej mojej
Spazmatycznie ściskam żebra,
Naraz w głowie mi się troi
Co ma znaczyć ta algebra....?

Gdzie ma sens swój to zrównanie
W którym znaczków gramy rolę,
My, w prabytu oceanie
Biedne oka na rosole....?

Tak raz szedłem sobie miedzą,
Śród łąków pszenicy żrącej,
Której kłosy nic nie wiedzą
Co to ludzkie komunały.

Jak im Bóg przykazał, rosną,
Ot, bez próżnego hałasu,
Kiełkują skwapliwie z wiosną,
Aby wydać plon zawczasu.

Nic nie dbając co je czeka,
Dojrzewają wnet, a potem
W łakome kiszki człowieka
Pchają się chlebusem złotym.

Wchodzą w nie, wychodzą, ano
Znów wracają z przyszłym rokiem,
Znów się złocą w cudne rano
Pod słońeczka czujnem okiem.

I żal chwycił mnie ogromny,
I w sercu stałem się cichy,
I uczułem się tak skromny
Jak ten ziemny kłosek lichy;

I, w dumy mojej pogrzebie,
Nazbyt późno zrozumiałem,
Że żyć trzeba, ot, przed siebie,
Nie szukając dziur na całym;

Że w bytu poczuciu zdrowem,
Każdy twój swe *locum* znajdzie:
Choć raz tem jest a raz owem
W końcu gdzie potrzeba zajdzie;

Więc notuję me wrażenia,
Może gdzieś, za lat choć trzysta,
Z mojego tu doświadczenia
Kto inny bodaj skorzysta....

Z „ELEGIJ“ PAWŁA VERLAINE'A.

Z „ELEGIJ“ PAWŁA VERLAINE'A.

I.

W moim wieku, wiem, trzeba rzucić myśli płoche,
Statkować, sztuką bawić się, przyglupią trochę,
Raczej godnym poetą, czystym stróżem domu
Zostać, małżonkiem, niżli tarzać się bez sromu
W bagnie miłości niskich, któremi świat gardzi.

Wiem o tem, a pomimo to kuszą mnie bardziej
Kobiety, i ich oczy, i wszystko, od owych
Nózek maciupych aż do włosów hebanowych,
Bo kobiety to jesteś ty, ty, coś się stała
Wszystkiem dla mnie, dla duszy, dla głodnego ciała,
Ciała, co się ku tobie wydziera z ochoty
Świętej, drżące jak płomień, jak kwiat mej istoty,
A dusza z twoją stapia się, w jedno związana,
A myśl żąda twej myśli.

Posłuchaj, kochana :

Stary jestem, lub blisko tego, a zaś ciebie
Bóg młodszą o lat dziesięć stworzył, byś w potrzebie
Mogła być towarzyszką stosowną dla mojej
Nędzy, co czasem w baśnie zakłete się stroi.

— Czemu wytrzeszczasz na mnie twe oczęta bure,
Co tyłu (ze mną włącznie) wpiły się za skórę!

Kasztelanko ty, której nie jestem, zaiste,
Paziem, lecz giermkim starym, co swoje nieczyste
Pragnienia zdradzić czasem śmie w geście pokornym,
Dzięki twej wielkiej łasce; lutnistą nadwornym,
Co się przez furtkę tajną wślizguje jak złodziej;
Pasterzem twoich bujnych łąk, który uchodzi
Za znachora i w ciebie chytre swoje ślepią,
Gusła mamrocąc ciemne, uporczywie wlepią;
Lub mnichem spowiednikiem, świętym dla swej szaty
Surowej, białej z czarnem, a która, zakaty,
Hultajstwa i figielków kryje całe moce;
Strażnikiem, co u blanków wieży czuwa w nocie —
Kasztelanko ty moich księżycowych włości,
Słuchaj mnie, droga: Kocham cię, ty, ma miłości!

— Powiedz twym włosom, niechaj lśnią mi się mniej
[czarno,
Kirem nad ust purpurą ścieląc się ofiarną...

Niech sobie ludzie krzyczą co chcą: „To pocieszne,
Idyotyczne! Dziad taki! Dokąd to nas grzeszne

Chucie wiodą!“ i dalej w podobnym sposobie,
Ba, niechaj świat tam o mnie gada co chce sobie,
Kocham cię, ja, dziad stary, ciebie, też nie dziecko,
Miłością, co, jak wiosna, wykwitła zdradziecko,
Nagle, i jednym tchnieniem objęła nas cudnie,
Z mym zmierzchem łącząc, droga, twoich lat południe.

Och, to południe! ileż więcej budzi chętki
Od młodzieńczej kibici sprężystej i giętkiej,
Od lat dwudziestu, smacznych, lecz w jurnej swywoli
Zbyt rącznych, by me zmysły upoić dowoli!
Ty, prosta i z natury rzeczy ochłodzona,
(Co nie wadzi, iż czasem z wezbranego łona
Szczerej żądz wykipi war po sam ostatek)
Ty umiesz wdzięków twoich dźwigać boski statek:
Jako broń wyćwiczony żołnierz nosi godnie,
Tak ty powabów swoich zażywasz swobodnie.

A twój rozsądek, humor i wesołość przytem!
Ach, jak trzeźwa i jasna i najmniejszym zgrzytem
Niezmącona! Te rady mądre, zaprawione
Niby gniewem, co w śmiechu się kończy jak one!

Jakież prospekt twe wszystkie zalety rozpowie!
Te słówka strzelające paradnie w rozmowie,

Raczej naiwne niżli szelmoskie, a wszakże
Swoją drogą szelmoskie, a przytem ach, jakże
Łechcące, dzięki buźce dziecinnej i dzięki
Wardze górnej, co stręczy zalotnie swe wdzięki,
Co dąsa się tak śmiesznie popod noskiem drwiącym,
Noskiem zadartym, lekkim, wszystkim się gorszącym,
Marszczącym się zabawnie, czyli go podrażni
Zapach szpetny czy słówko plugawe wyraźniej.

To znów (ba, i to bywał) jakiś kaprys dziki
Wpadnie do główki — lubię nawet te wybryki,
Choć od nich cierpię — i nuż, nie z przypadku wcale,
Lecz z rozmysłu, zaczynasz, kawał po kawale,
Rwać mi serce, jak oracz co bronuje rolę.

— O niechaj twoje ręce, ach, ileż to wolę,
Kołyszą mnie, nie szarpią mej biednej miłości !

Lecz w głębi, w samej głębi, nawet i w twej złości,
Tak cię kocham, że nowe w niej czerpię rozkosze!
Smaga mi krew, co płynie leniwo potrosze,
Z chorób, zgryzot; otrzeźwia mnie, biednego drania,
Szaleńca bez rozumu, i, mocą działania
Prostej logiki, żale, a raczej wyrzuty

Budzi we mnie i sprawia, że staję wyzuty
Z wszelkiej pychy i widzę własne moje winy,
Co były już przyczyną (ach, mimo tej miny
Mojej tak dobrodusznej) nie raz, nie dwa razy,
Krzywdy ludzkiej, niewinnej bliźniego obrazy;
Więc, mimo iż łez z oczu toczysz mi bez miary,
Wychwalam po wiek wieków twe lube przywary.

Tak: wady twoje, bowiem masz ich sporo może,
Choć raczysz cierpieć bym je uwielbiał w pokorze,
Niczem są. Miłaś mi jest. Co mówię, tyś bogiem
Moim. Tak, nie boginką: takim ciepłym błogiem,
Dobrotliwem, napełniasz mnie; tyś moim panem,
Nie kochanką; jam woli twej kornie oddanym
Rabem wśród wszystkich szaleństw. Tyś mem całym
życiem;

Twe przywary są moich jedynie odbiciem,
Ach, jak drogie, jak miłe. Duszo moja biedna!
Kapryśna ty, jak umiesz być tylko ty jedna,
Złośnica, nie zazdrosna (czy to nie przekora?)
Dokuczliwa niekiedy (i na śmiech jest pora)
To zbyt wesola (trzebaż skosztować i męki)
A wreszcie... Co tam, wszystko ty moje... i — dzięki!

II.

Pytam się jeszcze siebie — o moja ty głowo! —
Gdzie, kiedy — bodaj w jakąś noc karnawałową —
Zaczęła się znajomość, co mnie uczyniła
Pijanym niewolnikiem twoim. Ty też, miła,
Nie pamiętasz; niech się więc w Księdze wspomnień

zmaże

Ów dzień nad dniami; lub nie: toć się nie pokaże
Ta hańba, abym nie miał zrobić co w mej mocy,
By wskrzesić coś z obrazu tej czarownej nocy.
Tak, zaprawdę czarownej: ot, knajpka narożna,
Jeden z owych wieczorów parnych, gdy, rzecz można,
Wszystko na zgubę człeka spika się w zawody:
Gazu płomyk syczący nad głową, moszcz młody...
Zabawa szła szeroko. Z sąsiedniej izdebki
Wnikało arystonu jęczenie i krzepki
Szurgot nóg, w pół-rytmicznie bębniących w oddali;
Gdy w tem drzwi się rozwarły od tanecznej sali,
Wyrzucając tłum cały — w nim ciebie — w mą stronę,
I głosem tym co sprawia iż milknę i płonę
Gdy rozkaz jaki rzuci twa gębusia wartka,
Krzyknęłaś: „Ależ upał! Garson, tutaj ćwiartka“!

Zwróciłem się ku tobie, i wraz cię spostrzegłem
Różową, podnieconą, i w duszy podbiegłem
Wnet ku tobie; tak twoja twarz, osoba cała,
Bujność, zdrowie, przeczuty kształt twojego ciała
Pod żerseyem nabitym dobrze, i sukienka
Pełna ciebie, rękawów też tkanina cienka
Jeszcze lepiej nabita, o rozkoszy! bowiem
Cóż nad ramię kobiece napęczniałe zdrowiem!
Wzięły mnie w jednej chwili, jak zwierzę co zgrzyta
Węsząc łup świeży. Oto już me ucho chwyta,
W kilku słowach co z ust twych wypadły jak z procy,
Akcent, jakim we Francyi mówią na północy,
(A znam go dobrze, bowiem żyłem tam dość długo)
I już wszczynam pogwarke, prosząc cię byś drugą
Od krajana przyjęła ćwiartkę. Nuż w gawędy
Wdajemy się przy szkłance, tędy i owędy,
O tem, owem, a wszystko skropione dostatnio
Winkiem młodem, naiwnie ciągnącem nas w matnię.
Reszta mi jakoś dziwnie z pamięci wypadła,
Coś, coś może majaczy się... Lecz ty, przybladła
Nazajutrz, dość znużona (ja, ach, jak znużony!),
Czy pomnisz może czemu, mów, po nocy onej,
Przy rannej czekoladzie, cośmy się poznali
Wczoraj ledwie, jużesmy czule się tykali?

Banalny dość początek, trudno rzec inaczej,
Miłości tej, ostatniej zaiste, co znaczy
Jakby znak krzyża na mem sercu starem, w męce
Wiecznej pomiędzy dobrem a złem, wciąż w udręce
Pomiędzy nienawiścią a miłością : oto
Port wreszcie, port burzliwy, lecz w który z ochotą
Na resztę życia, na śmierć zawinąć gotowo.
Czyśmy nie dosyć, powiedz, ty można królowo,
Gwiazdo morza, ty zawsze pogodna bogini,
Czyśmy nie dość błędzili w odmętach pustyni
Wodnej, wśród raf, burz strasznych lub straszliwszej
ciszy?

Niedość nam smutków, piekła, gdy serc dwoje dyszy
Nabrzmiałych nienawiścią ; niedość tej obroży
Wciąż szarpanej daremnie? ach, klótnie tę, gorzej,
Te zdrady, gorzej jeszcze ; aż, na sam ostatek,
Pokój, nieprawdaż? pokój : coś niby opłatek
Dzielony wspólnie, pokój na dobre, wytchnienie?
Ach, to byłby cel, prawda? to życia marzenie
Więcej niżli małżeńskie, niemal Chrystusowe...

O, licha ty szynkownio, skąd na moją głowę
Spłynęło tyle dobra...

Z TRYUMFALNYCH DNI
Ś. P. POLSKIEGO KABARETU.

Z TRYUMFALNYCH DNI Ś. P. „POLSKIEGO KABARETU“.

Niedawne to czasy, kiedy podniosła idea „kabaretu polskiego“ przeciągała w tryumfalnym pochodzie przez miasta, miasteczka, niemal przez ciche wioski. Nieliczne, zamknięte wieczory krakowskiej „Jamy Michalikowej“, stały się mimowoli początkowym ogniskiem istnej epidemii. Od „kabaretów“ arystokratycznych w najwykwintniejszych salonach, aż do „kabaretu artystycznego“ w stowarzyszeniu robotniczym „Spójnia“ w Podgórzu, „kabaretowało“ wszędzie. Rozpleniły się po naszej ziemi jak grzyby po deszczu przeróżne, mniej lub więcej wesołe Jamy, Budy, Jaskinie, Ule, Pasieki, Obory, etc. Niektóre z tych przybytków rozrzuconych po rozmaitych naszych stolicach miałem sposobność poznać. Muszę się pochwalić, że przyjmowano mnie wszędzie bardzo życzliwie i godnie, przy dźwiękach tuszów i „potrójnych kabaretowych“, z kwiatkami i przemówieniami, w których nadawano mi godność niemal ojca ojczyzny, co (przyznaję się do tej słabości) sprawiało mi wielką przyjemność. Przez wdzięczność pilnie wchłaniałem w siebie to, co widziałem i słyszałem,

i za powrotem do domu utrwalam sobie na piśmie doznane wrażenia. Ponieważ z natury słabo jestem obdarzony pamięcią, nieraz, w notatkach moich, zdarzało mi się luki w rekonstrukcji tekstu wypełniać moim własnym, przyczem starałem się jednak o ścisłe zachowanie charakteru utworów. Pozwolę sobie tutaj, w bardzo zwężonych ramach, podzielić się memi spostrzeżeniami.

Jak wiadomo, głównym filarem takiego przybytku, poświęconego chronicznej wesołości jest t. zw. *conférencier*, lub, jak chcą inni, *conférencieur*. Nazwa ta nie ma swego odpowiednika w języku polskim — chyba ją zastąpić (bardzo niedoskonale) rodzimem słowem *pyskacz*. Zadania *conférencier'a* są bardzo wielostronne. Jemu przypada obowiązek oznajmiania w lekkich a dowcipnych słowach zjawiających się na estradzie wykonawców i utworów; przypominania co jakiś czas p. t. publiczności, że jest byłem, zaledwie zasługującym na dopuszczenie do tego przybytku, którego mysteryów nie jest w stanie ogarnąć swoim tępym umysłem, etc., etc. Zwykle *conférencier* pełni równocześnie obowiązki sekretarza instytucji. Tak np. znałem jedną z tych „wesołych jam“, w której młody i utalentowany poeta, a zarazem sprężysty

administrator ze znakomitą sprawnością łączył obie te funkcje. Skoro upewnił się, że stoliki stałych i wpływowych gości umieszczone są w dobrym miejscu, bez przeciągów, skoro roztelefonował do „wzmiankarzy“ potężnych miejscowych Kurjerków, że zatrzymano dla nich najlepsze miejsca, i że czeka się z rozpoczęciem spektaklu na przybycie tych potentatów opinii, skoro rozdzielił parę energicznych napomnień służbie co do szybkiej i gorliwej usługi, wówczas przywdziewał symbol „*bohème'y*“ aksamitną kurtkę, układał włosy w nieład, wsuwał przed lustrem ręce w kieszenie i pojawiał się na estradzie, otwierając widowisko w tych mniejwięcej lub tym-podobnych słowach:

*Przyszliście tutaj poco? czy wy wiecie?
Ha, nie, zaiste. A więc ja wam powiem.
Przyszliście poto, aby, przy koleccie,
Uragać nam tu swem zwierzęcem zdrowiem,
Pełną kieszenią i wypchanym brzuchem,
Co lśni plugawo pod złotym łańcuchem.*

*Przyszliście do nas tutaj w odwiedzinie,
Wy, którym betów waszych już za mało,*

*Tak jak się idzie do płatnej dziewczyny,
Co wam wydaje na łup swoje ciało,
I zbliża do ust, niby winne grono,
Piers, niegdyś świeżą, dziś, ach, tak zmęczoną...*

*Przyszliście, wiecznie niesyci burżuje,
Chleptać, wraz z piwem, ciepłą krew artysty,
Rzygnąć w głąb serca co cierpi i czuje,
Za grosz sprzedając wam swój mięsz soczysty,
Marzeń swych tkanę targając na strzępy,
Poto, ażeby śmiech wasz zbudził tępy.*

*Witaj, motłochu! siądzmy więc pospołu:
Niech ducha ziści się krwawa gehenna;
Lecz wiedz, że każdy okruch tego stołu,
To jako perła preczysta, bezcenna,
Którą my, w męki ofiarnej godzinie,
Wbrew słowom Pisma, rzucamy przed świnię.*

Trzeba przyznać, że wrażenie tej lub tympodobnej apostrofy bywało zwykle jak najlepsze. *Conférencier* nagrodzony hucznym oklaskiem, rzuciwszy jeszcze raz okiem czy obsługa „motłochu“ idzie należytem tempem, opuszczał estradę, aby za chwilę na nią

powrócić i zapowiedzieć pierwszy numer programu. Owym pierwszym numerem jest z zasady śpiewana inwokacja do wesołości i szału. Zarazem jednak logika programu wymaga, aby wszystkie „atrakcje“ i „clou“ pojawiały się dopiero w dalszej części spektaklu: pierwsze numery, rzucane na stracenie w napełniającą się stopniowo salę, powierza się zazwyczaj siłom początkującym i najslabiej ukwalifikowanym. Dlatego też, na początek, pojawia się nieodmiennie młodzieniaszek o niepewnym spojrzeniu, wybladły z tremy, wybiera starannie miejsce w pobliżu budki suflera, w które wrasta nieruchomo, i drżącym a wątlým barytonowym głosikiem rozpoczyna swoją inwokację, w tym wypadku z tekstem oryginalnie napisanym pod ulubioną melodyę „Ach, ta trójka...“ Przez cały czas tej hulaszczkiej pieśni największą jego troskę stanowi kwestya, co począć z własnymi rękami, których ilość wydaje mu się w tej chwili stanowczo za duża. Tekst pieśni brzmi mniejwięcej tak:

*Niech wesoło pieśń brzmi w koło,
Niechaj dźwięczy śmiech i gwar,
Tyle życia, co użycia,
Niech rozkoszy kipi żar.*

*Niech rozgłosznie a radośnie
Smutki płoszy jurny żart,
Przy tym znaku stań Polaku,
Dobry humor tynja wart.*

*Niech się w pieśni ucieleśni
Namiętności wrząca chuć,
Dziewko hoża, wola Boża,
Więc tu do nas, do nas pódź.*

*Więc wesolo rozchmurz czoło,
Ciesz się ludu, śmieję i baw,
Upojenie, zapomnienie,
Niesiem wszystkich ziemskich spraw.*

Po tym numerze, publiczność, mimo iż najżyyczliwiej usposobiona przez energiczną wstępną apostrofę, zachowała grobowe milczenie. Parę zdawkowych oklasków — to i wszystko; szału i upojenia ani śladu. Żalony debiutant, złożywszy studencki ukłon, znikł za kulisami, natomiast w jego miejsce zjawia się *conférencier* z objawami widocznego zdenerwowania na twarzy i odzywa się grzmiącym głosem: „Widzę, że nasza skromna zabawa artystów nie przypadła

jaśnie państwu do smaku! Komu się nie podoba, może się zabierać. Do tingłów! do bajzli! do zamtuzów! Tam wasze miejsce! Z Panem Bogiem!“ Zawstydzeni słuchacze zwiesili z pokorą głowy; nikt nie ruszył się z miejsca, prócz jakiegoś staruszka, który wysunął się po cichu. Tyran potoczył groźnym wzrokiem po sali i rzekł: „A teraz, dla kolegi Weselskiego, jako wykonawcy, jak również dla autora piosenki, „potrójny kabaretowy“. Sala zagrzmiała „potrójnym kabaretowym“. *Conférencier* złagodził nieco surowe oblicze i rzekł udobruchany: „A teraz, kolega Weselski odśpiewa wam jeszcze dwie piosenki: „Walc szału“ i „Hulaj dusza“. I tak się też stało.

Po numerze kolegi Weselskiego posypały się dalsze. Były tam i bajeczki, i „morały“ i żydowskie anegdoty i nieodzowny „dziadek“ i kilka „jedynaczek“ z obiecującymi pseudonimami jak „milucha“, „przyłipeczka“ i różne różności. Pod koniec pierwszej części programu pojawiły się i „gwiazdy“. Jedną z nich był liryczny tenor o miłym, dźwięcznym głosie i dużej dozie sentymentu i smaku; był to ulubieniec publiczności. Tego wieczora, po raz setny od trzech miesięcy, zniewolony okrzykami i żądaniem publiczności, odśpiewał swą najpopularniej-

Ach, wietrzyku, mały ty psotniku,
Ach, hultaju, prowadź mnie do raju,
Wiem ja tam, ach wiem ja słodką rzecz,
Odłoń drogę mi wietrzyku, a potem idź już
precz.

Tandaradai, tandaradai.

Na tem stylowym *clou* zakończyła się część pierwsza programu. Oklaski, naddatki, „potrójne kabaretowe“, wreszcie półgodzinna pauza. Miło było zobaczyć się po sali. Stoliki gęsto zajęte przez „premierową“ elitę, piękne panie wygorsowane, wybrylantowane, z podnieceniem w oczach, wchłaniające z rozkoszą atmosferę tego przybytku, mającego w sobie coś z zakazanego owocu; panowie we frakach lub smokingach, wytworni, lecz z owym nieuchwytnym odcieniem poufnej nonszalancyi z najlepszym smakiem dostrojonej do ramy tego wesołego lokalu, flaszki szampańskie wdzięcznie kąpiące w kubelkach swoje pełne kształty, słowem, żyć nie umierać! Naraz, światła przygasły, w sali zapanowała niemal zupełna ciemność. Ze strony, w której znajdowała się scenka, rozległy się posępne dźwięki przegubowego dzwonu, do którego przyłączyła się

niebawem przenikliwa sygnaturka za topielców. Wyznaje, że dreszcz mię przeszedł. „Teraz najciekawsze: część *macabre*“ objaśniła mnie uprzejmie sąsiadka. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, iż w każdym szanującym się „polskim kabarecie“ musi znajdować się w programie pewna ilość numerów „odsłaniających rany społeczne“. Wreszcie dzwony ucichły, kurtyna rozsunała się wśród ciszy przepojonej elektrycznością oczekiwania i na scenie oświetlonej promykiem zimnego seledynowego światła, ukazał się *conférencier*. Był poważny i skupiony; wytrzymawszy długą artystyczną pauzę, tak przemówił:

*Wy, śliczne panie, których pełne biusty
Lśnią od brylantów i drogich kamieni,
Których usteczka śmiech rozchyła pusty,
A oko blaskiem lubieżnym się mieni,
Czyli wy wiecie, że pod wami, w dole,
Są ludzkie troski, cierpienia i bole?*

*Wiecież wy o tem, że macie tam braci,
Którym głód skręca wychudłe jelita?
Co drżą od zimna wprost nie mając — gaci?*

Tu mowca zawiesił głos, pewny swego efektu. Jakoż w istocie lekki szmerek przebiegł po sali niby dreszcz po ciele. „To silne“ rzekła półgłosem moja sąsiadka. Poeta, mięcej modulując głos, ciągnął dalej:

*Że siostra wasza, tak jak wy kobieta,
Aby wyżywić swoje drobne dziatki,
Porać się musi rzemiosłem gamratki?!*

*Ten świat my chcemy wam przywieść na oczy,
Ten „padół płaczu“, jako wieszcz powiedział,
A jeśli tza się wam z źrenic potoczy,
Płynąc jak rynną w piersi krągłych przedział,
Niech nie wstrzymuje jej wasza powieka:
Ta tza wam godność nadaje człowieka!*

Zagrzmiała burza oklasków, ale na krótko, bowiem *conférencier* huknął gromkim głosem: „Milczeć!“ a równocześnie ozwał się znów dźwięk dzwonu pogrzebowego i sygnaturka za topielców. W końcu uciszyło się, kurtyna się rozsunała i rozpoczął się pierwszy numer odslaniający ranę społeczną. Było to jedno z licznych naśladownictw piosenki Szyllera (Leona) „Wiatr za szymbami śmieje się“. Tym razem

śpiewała ją zgrzybiała babcia, która za młodu była „kurtyzana“, a obecnie, przesuając nieco zakres pracy w kierunku odpowiedniejszym swemu wiekowi, pełni obowiązki dozorczeni publicznych miejsc ustępowych. Pomysłowa reżyserya wyposażyła ten numer we wspaniałą oprawę. Skulona bacia siedziała w rogu sceny koło swego zakładu, opodal świeciła uliczna latarnia, z góry sypał gęstymi płatkami śnieg. Za kulisami świstał przeciągle wiatr, wybuchając po każdej zwrotce złowróżbnym refrenem. Śnieg prószył coraz gęściej, babcia śpiewała coraz ciszej, i w końcu cisza grobu utuliła ją na wieki. Na scenie zjawił się fizyk miejski który obojętnie skonstatował zgon, a za nim dwóch grabarzy wyniosło martwe zwłoki.

Oto urywek tekstu:

*Tak jak mnie dzisiaj tu widzicie
Babunią starą i zgrzybiałą,
I we mnie kiedyś drgało życie,
I świat ubóstwiało moje ciało.*

*Tłumnie klęczeli u mych stóp
Hrabiowie, księża i bankierzy —
Czy który, patrząc na mój grób
Pozna co tam pod spodem leży?*

*Wiatr za szybami śmieje się:
Psiakrew to życie takie złe!
Stanie się co się musi stać,
Ot, lepiej, ludzie, idźcie — spać.*

*Bywało nieraz, przy niedzieli,
Przychodził do mnie chłopiec żwawy,
Najpierw użyliśmy kąpieli,
A potem innej znów zabawy.*

*Ach, jak on brał w ramiona mnie,
— Dziś już tak kochać nie umięją!
Na to wspomnienie jeszcze drzę,
Jeszcze się stare oczy śmieją.*

Wiatr za szybami etc.

*Pamiętam jak go potem brali:
— Biedactwo, skradł zegarek złoty —
Jak mi nieludzko go szarpali
Wydartszy z objęć mej pieczyoty.
Pod topór oddał głowę swą,
Ach, ludzie, ludzie czy szakale!
Czyż wiecznie będzie w świecie zło — ?
Nie widzę polepszenia wcale!*

Wiatr za szybami etc.

Spojrzałem po sali: wiele osób płakało.

Następną „raną społeczną“ był nieodzowny apasz.
W kaszkiecie nasuniętym na oczy, w kurtce zapiętej
pod szyję, z długim kuchennym nożem w ręce, wił
się po scenie, czaił, przysiadł, opowiadając, na nutę
udramatyzowanego gassenhauera (Tralala), dzieje
swojej pierwszej zbrodni:

.
*Mignął mi burżuja tłusty kark z za węgła,
Ma dłoń go sięgła;
Runął jak głaz.
Próżno trwożnym głosem o ratunek żebrze,
Ja, drżąc jak w febrze,
Zadaję raz.*

*Absyntu szklanka,
Śmierć ma kochanka,
etc. etc.*

Wogóle konsumpcya absyntu przez polską muzę
kabaretową była znaczna.

Na usilne żądanie publiczności tenże sam apasz
odśpiewał ulubioną piosenkę Henryka Zbierchow-

skiego p. t. *Walc nocy*, dziś już spopularyzowaną po całej kuli ziemskiej pod nazwą *Valse brune* :

*Gdy noc zapada,
Nim światła latarni pogasną,
Wieszcz po melodyę się skrada,
By wydrukować jak własną.
Oto już siódme wydanie,
Zanim się zbrodnia odkryje,
Kupujcież, kupujcież, dranie,
Raz tylko jeden się żyje!....*

Dalszy ciąg notatek niestety mi zaginął.



TREŚĆ.

	Str.
MARKIZA	5
DUSZA POETY	11
UWIEDZIONA	17
KAPRYS	25
PIOSENKA MEGALOMANA	29
MADRYGAŁ Z POD CIEMNEJ GWIAZDY	35
WOLNY PRZEKŁAD Z ASNYKA	39
DEDYKACYA	45
WIERSZYK, KTÓRY SAM AUTOR UWAŻA ZA NIEBAR- DZO MĄDRY.	49
KŁOSKI	55
Z „ELEGIJ“ PAWŁA VERLAINE'A	61
Z TRYUMFALNYCH DNI Ś. P. POLSKIEGO KABARETU	71



9936